

ciem ulgi stwierdził właściciel karczmy, że jego goście już powstają wreszcie od stołu. Już się żegnają, ale jakoś długo, tajemniczo, nie tak jak zwykle. Rozchodzą się ze słowami:

— A więc jutro, w niedzielę, pod wieczór...!

Piotr Kulebiaka do swej idzie chaty. Ociąga się. Przed domem przystanął na chwilę. Już dawno moje dzieci i żona śpią — pomyślał. Nie dziwię się, że te biedne, małe stworzenia śnią o niebie, marzą o niem, ale mocno dziwię się żonie. Jakże dorosły człowiek może czekać na jakieś światło z nieba? Tylko obrany z rozumu tak sądzić może.

Na myśl o tem zaśmiał się tak ironicznie i dziko, że przebudziła się żona, a dzieci na łózkach poruszyły się nieco. Kulebiaka wszedł do chaty w milczeniu. W ciemności przewrócił stół. Był zły. Żona jego nie odezwała się wcale do męża. Ten sapiąc kładzie się spać. Myśl niespokojna, projekty różne przychodzą mu do głowy. Spędzają sen z powiek. O! czyż nie ma nad czem zastanawiać się i rozważać?

Musi w tem coś być. Dlaczegoż wolnomyśliciele z miasta właśnie do niego zwrócili się? — pyta sam siebie. Na co potrzebny im biały krążek z kościoła, mała hostja, jaką ludzie w komunji św. z nabożeństwem i czcią przyjmują? Ale cóż mię to obchodzi, co oni z tem robić będą? Grunt, że obiecali mi za to grube pieniądze. Ach! pieniądze, złoto — to mój bóg! Ostatniej niedzieli, jak powtarzała mi żona, proboszcz mówił, że Bóg nigdy nie opuszcza swoich sług. To wydaje mi się prawdą.

— Moim bogiem — pieniądze. Opuścił mię wprawdzie, ale znowu wraca. Znowu będę miał swoją posiadłość, dostatek. Znowu bę-

dą w mym majątku parobki i dziewczki służebne. Frankowi — najstarszemu synowi, zapiszę ojcowiznę, Hanusi dam furę złota w wianie. Kłopot tylko mam z najmłodszym — Jasiem. On chce księdzem zostać. Czy to nie śmieszne? Jaś proboszczem? Jaś — syn wolnomyśliciela duchownym? Ale zmienia się napewno jego zamiary — skoro złoto mieć będę. Inaczej być nie może.

Kulebiaka podnieca się coraz bardziej. Coraz to radośniejsze myśli przychodzą mu do głowy. Jest z siebie rad wielce. Pieniądz — złoto — to moje jedyne bóstwo — powtarza zadowolony. — Nadejdzie niedziela. Pan z miasta worek złota przywiezie. I to za maleńką, białą hostję.

Jedno z dzieci Kulebiaka przez sen powiedziało: Ojcie!

— Śpij mały spokojnie. Już nie długo, a ojciec twój będzie bogaty. Bądź cierpliwy. Brzęczące i jaśniejące bóstwo rychło przyjdzie do nas.

Wprawdzie trzeba proboszczowi z kościoła wykraść to, co inni ze czcią przyjmują i za Boga mają. Ale i to robi się — trochę strachu i zachodu — i pan z miasta — przewodniczący wolnomyślicieli — wyliczy mi taką sumę pieniędzy, że będę najbogatszy we wsi. Muszę więc przed wieczorem w niedzielę zdobyć komuniant — biały krążek chleba. I zdobędę! A niedziela za pasem. Jeszcze trochę czasu i Kulebiakę ścisnąć będą z radością jego zwolennicy. Dopnie swego. Wykona czyn zamierzony.

Dzieci o niczem wiedzieć nie będą. Pójdzie z niemi przykładnie do kościoła, wypowiada się — przyjmij Komunię. Będą z ojca zadowolone. Już tam coś one proboszczowi bąknęły, że ich ojciec wybiera się do spowiedzi. Pono ksiądz proboszcz z tego bardzo